

SIOSTRA BURZY

— SIEDEM SIÓSTR —



LUCINDA RILEY

1

Morze Egejskie

Zawsze będę dokładnie pamiętać, gdzie dowiedziałam się o śmierci ojca i co wtedy robiłam.

Leżałam naga w słońcu na pokładzie *Neptuna*, a na moim brzuchu spoczywała opiekuńcza dłoń Theo. Przed sobą mieliśmy łuk połyskującej złotym piaskiem opustoszałej plaży, która wtuliła się między skały zatoczki na wyspie. Krystalicznie czysta, turkusowa woda leniwie układała się w fale, które rozbijając się o brzeg, tworzyły piankę jak w cappuccino.

Cisza, pomyślałam. Jak w moim sercu.

Poprzedniego wieczoru o zachodzie słońca zarzuciliśmy kotwicę w zatoczce niewielkiej greckiej wyspy Macheres, a potem, brodząc w wodzie i niosąc dwie lodówki turystyczne, doszliśmy do plaży. Jedna była pełna świeżych cefali i sardynek, które Theo złowił w ciągu dnia, a druga – wina i wody. Dysząc z wysiłku, postawiłam swoją na piasku, a Theo czule pocałował mnie w nos.

– Jesteśmy rozbitkami na naszej własnej bezludnej wyspie – powiedział i szeroko rozpostarł ramiona, wskazując idylliczną scenę. – Pójdę po chrust, to upieczemy ryby.

Patrzyłam, jak odwraca się ode mnie i idzie w stronę skał tworzących półokrąg wokół zatoczki. W ich rozpadlinach tu i ówdzie rosły suche krzaki. Theo był światowej klasy żeglarzem, ale po jego delikatnej posturze nie było widać koniecznej do tego siły. W porównaniu z mężczyznami, z którymi żeglowałam podczas zawodów – z prężącymi się pod skórą mięśniami i klatkami piersiowymi rozbudowanymi jak u Tarzana – był drobny. Pierwszym, co u niego zauważyłam, było to, że leciutko utykał. Potem opowiedział mi,

że w dzieciństwie spadł z drzewa, złamał nogę w kostce i źle mu się zrosła.

– Jest to chyba jeszcze jeden powód, dla którego moim przeznaczeniem stało się życie na wodzie – dodał. – Na łodzi nie widać tego tak jak na lądzie.

Upiekliliśmy ryby, a potem kochaliśmy się pod gwiazdami. Następny dzień miał być naszym ostatnim wspólnym dniem na jachcie. Zanim uznałam, że absolutnie najwyższy czas nawiązać kontakt ze światem zewnętrznym i włączyć telefon – w wyniku czego dowiedziałam się, że moje życie rozbiło się na milion kawałeczków – leżałam przy Theo w poczuciu idealnego spokoju, przypominając sobie, jak w surrealistycznym śnie, wydarzenia, które zawiodły nas w to piękne miejsce...

*

Po raz pierwszy zobaczyłam go rok temu na regatach Heinekena na karaibskiej wyspie Sint Maarten. Zwycięska załoga świętowała swój sukces uroczystą kolacją. Zaintrygowało mnie, że ich kapitanem jest Theo Falys-Kings. W świecie żeglarskim stał się celebrytą, bo od pięciu lat nie było kapitana, który doprowadziłby do zwycięstwa więcej drużyn.

– Nie jest ani trochę taki, jak sobie wyobrażałam – bąknęłam pod nosem do Roba Bellamy’ego, starego kumpla, z którym pływałam w reprezentacji Szwajcarii. – W tych okularach z rogowymi oprawkami wygląda na geeka – dodałam, widząc, że Falys-Kings wstaje, by przejść do innego stolika. – I jakoś dziwnie chodzi.

– To prawda, że nie pasuje do stereotypu żeglarza osiłka – zgodził się ze mną Rob. – Ale to absolutny geniusz. Na wodzie włącza mu się szósty zmysł. Nie ma kapitana, któremu bardziej bym zaufała podczas sztormu.

Tego samego wieczoru Rob przedstawił mnie Theo. Kiedy słynny kapitan podawał mi rękę, zauważyłam zamyślenie w jego zielonych oczach z piwnymi cętkami.

– Więc to ty jesteś tą słynną Al D’Aplièse? – Miał brytyjski akcent i ciepły, spokojny głos.

– Koniec zdania się zgadza – odparłam zawstydzona jego komplementem. – Ale słynny to jesteś ty. – Staralam się, jak mo-

głam, nie odwracać wzroku od jego przenikliwych oczu. Nagle zobaczyłam, że wyraźnie próbuje stłumić śmiech.

– Co tak cię rozbawiło?

– Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się kogoś takiego jak ty.

– Nie rozumiem?

Uwagę Theo odwrócił fotograf, który chciał zrobić zdjęcie grupowe, więc nie dowiedziałam się, o co mu chodziło.

Później widywałam go na różnych imprezach organizowanych z okazji regat, w których braliśmy udział. Miał w sobie jakąś nieokreśloną energię i tak miły uśmiech, że choć pozornie był bardzo powściągliwy, ludzie do niego lgnęli. Na oficjalne spotkania, w ramach ukłonu w stronę etykiety i sponsorów wyścigu, wkładał przeważnie bawełniane spodnie i pogniecioną lnianą marynarkę, ale stare noszone na pokładzie buty i nieokiełznane ciemne włosy i tak sprawiały, że wyglądał, jakby przed chwilą zszedł z jachtu.

W czasie pierwszych przypadkowych spotkań miałam wrażenie, że tańczymy wokół siebie. Nasze oczy często się spotykały, ale nie podejmował próby dokończenia tamtej pierwszej rozmowy. Dopiero sześć tygodni temu, kiedy moja załoga zwyciężyła w regatach u wybrzeży Antigui i obchodziliśmy to podczas Balu Lorda Nelsona na zakończenie tygodnia zawodów, poklepał mnie po ramieniu.

– Dobra robota – powiedział.

– Dziękuję. – Cieszyłam się, że wreszcie zwyciężyliśmy z jego drużyną.

– W tym sezonie słyszałem o tobie wiele dobrego, Al. Nie miałabyś ochoty przyłączyć się do mojej załogi na czerwcowych regatach po Cykladach?

Miejsce na tych regatach zaproponował mi już ktoś inny, ale jeszcze się nie zadeklarowałam. Theo zauważył, że się waham.

– Jesteś już zajęta?

– Tylko wstępnie.

– W takim razie dam ci swoją wizytówkę. Zastanów się i odpowiedz mi do końca tygodnia. Przydałby mi się na pokładzie ktoś taki jak ty.

– Dziękuję. – W myślach już przestałam się wahać. Kto by odrzucił propozycję aktualnego „króla mórz”, bo tak o nim mówio-

no? – A tak w ogóle – zatrzymałam go, gdy zbierał się, żeby ode mnie odejść – to dlaczego, kiedy ostatnio rozmawialiśmy, powiedziałeś, że nie spodziewałeś się kogoś takiego jak ja?

Zatrzymał się na chwilę i zmierzył mnie wzrokiem.

– Nie znałem cię osobiście, ale słyszałem rozmowy o twoich umiejętnościach żeglarskich. No i jak już mówiłem, nie spodziewałem się kogoś takiego. Dobranoc, Al.

W drodze do swojego pokoju w małym pensjonacie nad zatoką St John's rozrząsałam w myślach tę rozmowę. Napawając się nocnym powietrzem, zastanawiałam się, dlaczego Theo aż tak mnie zafascynował. Kolorowe fasady domów skąpane były w ciepłych światłach latarni ulicznych. Z dala dochodziły leniwe odgłosy rozmów ludzi siedzących w barach i kawiarniach. Podniecona zwyczajem w regatach i propozycją Theo Falys-Kingsa, nie zwracałam jednak na to wszystko uwagi.

Kiedy tylko przekroczyłam próg pokoju, natychmiast podeszłam do komputera i napisałam do Theo maila, w którym poinformowałam go, że przyjmuję jego ofertę. Zanim wcisnęłam WYŚLIJ, wzięłam prysznic, a potem jeszcze raz przeczytałam swoje słowa i stwierdziłam, że wyszłam na tak nadgorliwą, że aż się zarumieniłam. Postanowiłam zachować wiadomość w mailach roboczych i wysłać za kilka dni, a potem wyciągnęłam się na łóżku i naprzężyłam ręce, aby pozbyć się bólu po zawodach.

– Wiesz co, Al – mruknęłam do siebie z uśmiechem. – To dopiero będą ciekawe regaty.

Mail wysłałam zgodnie z planem, a Theo natychmiast się ze mną skontaktował. Odpisał, że bardzo się cieszy, że przyłączy się do jego załogi.

Dwa tygodnie temu po raz pierwszy znalazłam się – nie wiadomo dlaczego strasznie zdenerwowana – na przeznaczonym dla naszej drużyny jachcie *Hanse 540*, przycumowanym w porcie Naksos. Mieliśmy zacząć trening do regat po Cykladach.

Te zawody nie były specjalnym wyzwaniem. Uczestniczyli w nich zarówno poważni, zawodowi gracze, jak i weekendowi entuzjaści. Wszystkich zagrzewała do boju perspektywa ośmiu cudownych dni żeglowania wśród jednych z najpiękniejszych wysp na świecie. Należeliśmy do załóg z największym doświadczeniem,

więc mieliśmy dużą szansę na zwycięstwo.

Drużyny Theo słyęły z młodego wieku uczestników. Rob Belamy i ja mieliśmy po trzydzieci lat, należeliśmy więc na jachcie do starszyny, zarówno jeśli chodzi o wiek, jak i doświadczenie. Słyszałam, że Theo najchętniej zatrudnia utalentowanych młodych żeglarzy, którzy nie nabrali jeszcze złych nawyków. Razem z nami załoga liczyła sześciu członków: pozostali – krzepki Anglik Guy, wyluzowany Australijczyk Tim i Mick, pół-Niemiec pół-Grek, który znał wody Morza Egejskiego równie dobrze jak własną kieszeń – byli tuż po dwudziestce.

Chociaż tak paliłam się do pracy z Theo, decyzji o niej nie podjęłam pochopnie. Zrobiłam, co mogłam, aby zebrać informacje o zagadkowym „królu mórz” z internetu i rozmów z ludźmi, którzy z nim już pływali.

Ustaliłam, że pochodzi z Wielkiej Brytanii i studiował w Oxfordzie, co wyjaśniało jego arystokratyczny akcent. Z internetu dowiedziałam się jednak, że ma amerykańskie obywatelstwo i wielokrotnie doprowadził do zwycięstwa reprezentację żeglarską uniwersytetu Yale. Ktoś z moich znajomych słyszał, że pochodzi z bogatej rodziny, ktoś inny mówił, że mieszka na łodzi.

„Perfekcjonista”, „lubi rządzić”, „trudno go zadowolić”, „pracholik”, „mizogin”... – zebrałam też i takie komentarze. Ostatni pochodził od koleżanki żeglarki, która utrzymywała, że kiedy należała do jego załogi, była lekceważona i źle traktowana. Szczerze mówiąc, po tym, co od niej usłyszałam, przez chwilę się zastanawiałam. Ale przytłaczająca większość opinii mniej więcej się pokrywała.

„Absolutnie najlepszy kapitan, u którego pracowałam”.

Już pierwszego dnia na pokładzie zrozumiałam, dlaczego Theo cieszy się takim szacunkiem wśród żeglarzy. Byłam przyzwyczajona do wrzaskliwych przełożonych, którzy wydawali instrukcje podniesionym głosem i kogo się dało, obrzucali obelgami jak humorzaści szefowie kuchni. Powściągliwość Theo była dla mnie czymś nowym. Przy wydawaniu poleceń mówił bardzo niewiele; głównie obserwował nas z daleka. Na koniec dnia robił odprawę i spokojnym, zrównoważonym głosem wyjaśniał, jakie mamy mocne i słabe strony. Spostrzegłam, że nic nie umyka jego uwadze,

a ponieważ miał charyzmę, uważnie wsłuchiwałam się w każde jego słowo.

– A tak w ogóle, Guy, żebyś więcej nie widział, że podczas ćwiczeń do zawodów po kryjomu palisz papierosy – powiedział kiedyś z lekkim uśmiechem na sam koniec odprawy.

Guy zarumienił się aż po cebulki jasnych włosów.

– Facet ma chyba oczy z tyłu głowy – mruknął do mnie w drodze z jachtu do naszych pokoi, gdzie mieliśmy wziąć prysznic i przebrać się do kolacji.

Pierwszego wieczoru wyruszyłam z pensjonatu razem z resztą załogi zadowolona, że zdecydowałam się do nich dołączyć. Szliśmy wzdłuż portu w Naksos. Nad krętymi uliczkami i białymi domami miasteczka górował podświetlony zamek. Restauracje pękały w szwach od żeglarzy i turystów, którzy raczyli się świeżymi owocami morza i szklanka za szklanką wypijali morze ouzo. Znaleźliśmy małą rodzinną knajpkę w bocznej ulicy. Siedzieliśmy wprawdzie na rozklekotanych drewnianych krzesłach, każdy talerz był z innej parafii, ale podano nam idealne domowe jedzenie. A po całym dniu na morzu wszyscy mieliśmy wilcze apetyty. Byłam tak głodna, że chłopaki aż wybałuszyły oczy ze zdziwienia, obserwując, jak pochłaniam musakę i dokładałam sobie ryżu.

– Co się tak gagicie? Nigdy nie widzieliście kobiety przy jedzeniu? – spytałam i nachyliłam się, żeby sięgnąć po następny kawałek pity.

Theo rzadko dołączał się do naszych wygłupów, rzucając jakieś suche spostrzeżenie i zaraz po kolacji szedł do siebie. Nie chciał uczestniczyć w rajdach po barach. Ja też wkrótce odłączałam się od reszty. Po latach uprawiania profesjonalnego żeglarstwa nie miałam ochoty przyglądać się temu, co mężczyźni wyrabiają po zapadnięciu zmroku.

Pod wnikliwym – zielonym – okiem Theo w ciągu kilku dni udało nam się zgrać ze sobą i szybko stworzyliśmy sprawny zespół. Coraz bardziej podziwiałam jego metody zarządzania grupą. Trzeciego wieczoru w Naksos byłam szczególnie zmęczona po ciężkim dniu pod palącym słońcem Morza Egejskiego, więc wstałam od stołu pierwsza.

– Cześć, chłopaki – rzuciłam. – Ja już idę.

– Ja też – powiedział Theo. – Dobranoc, chłopaki. Proszę, żeby jutro nikt nie przychodził na kacu – dodał i wyszedł za mną z restauracji. – Mogę ci potowarzyszyć? – zapytał, kiedy dogonił mnie na ulicy.

– Jasne. – Nagle poczułam się spięta; po raz pierwszy byliśmy sami.

Wracaliśmy do pensjonatu wąskimi brukowanymi uliczkami. Księżyc oświetlał białe domki o pomalowanych na niebiesko drzwiach i okiennicach. Za wszelką cenę starałam się podtrzymać rozmowę, ale Theo od czasu do czasu rzucał tylko „tak” lub „nie” i jego małowówność zaczynała mnie irytować.

Gdy doszliśmy do holu pensjonatu, nagle odwrócił się w moją stronę.

– Masz niezwykły instynkt do żeglarstwa, Al. Większość kolegów zapędzasz w kozi róg. Kto cię uczył?

– Ojciec – odpowiedziałam, zdziwiona komplementem. – Od dziecka pływałam z nim żaglówkami po Jeziorze Genewskim.

– Jesteś z Genewy! To wyjaśnia twój francuski akcent.

Przygotowałam się na typowe słowa w stylu: „Powiedz coś seksownego po francusku”, które w tym momencie rozmowy padały z ust większości mężczyzn, ale nic takiego nie nastąpiło.

– Twój ojciec musiał być nadzwyczajnym żeglarzem: świetnie cię wyszkolił.

– Dziękuję. – Rozbroił mnie.

– Jak się czujesz jako jedyna kobieta na pokładzie? Zresztą pewnie nie jest to dla ciebie nic niezwykłego – dodał pośpiesznie.

– Szczerze mówiąc, wcale o tym nie myślę.

Przyglądał mi się uważnie zza okularów w rogowych oprawkach.

– Naprawdę? Wybacz, że to mówię, ale, moim zdaniem, myślisz. Czasem mam wrażenie, że starasz się, by nikt nie zwrócił uwagi na to, że jesteś kobietą, i właśnie wtedy popełniasz błędy. Proponowałbym, żebyś bardziej się rozluźniła i po prostu była sobą. No, ale dobranoc. – Uśmiechnął się przelotnie i ruszył po wyłożonych białymi kafelkami schodach do swojego pokoju.

Tej nocy, leżąc w wąskim łóżku, czułam, jak drapie mnie wykrochmalona biała pościel, a policzki pieką z powodu jego krytycz-

nej uwagi. Czy to moja wina, że kobiety nadal stanowią rzadkość albo, jak niewątpliwie powiedzieliby niektórzy koledzy z załogi – nowość na pokładach profesjonalnych zespołów na regatach? A ten Theo Falys-Kings, za kogo właściwie się uważa? Znalazł się domorosły psycholog analizujący ludzi, którzy wcale tego nie potrzebują!

Zawsze wydawało mi się, że dobrze sobie radzę jako kobieta w środowisku zdominowanym przez mężczyzn i potrafię dzielnie brać na klatę ich przyjacielskie docinki i komentarze na temat mojej kobiecości. W pracy zbudowałam wokół siebie nieprzenikniony mur i wypracowałam dwie osobowości: w domu Ally, w pracy Al. Owszem, bywało trudno, ale nauczyłam się trzymać język za zębami, zwłaszcza kiedy uwagi miały wyraźnie seksistowski wydźwięk, jak komentarze na temat zachowań blondynek. Chcąc uniknąć takich uwag, zawsze dokładnie odgarniałam z twarzy złotorude loki i mocno wiązałam je w koński ogon. Poza tym w ogóle się nie malowałam; nie używałam żadnych kosmetyków do podkreślenia oczu czy zatuszowania piegów. No i pracowałam równie ciężko jak mężczyźni z załogi – a być może, doszłam do wniosku w poczuciu krzywdy – ciężiej.

Z oburzenia nie mogłam spać i nagle przypominałam sobie, jak ojciec mówił, że ludzi przeważnie najbardziej irytują te uwagi na ich temat, w których jest ziarno prawdy. W miarę upływu nieprzespanych godzin zaczęłam przyznawać przed sobą, że Theo pewnie ma rację. Nie jestem sobą.

Następnego wieczoru znowu wracaliśmy razem do pensjonatu. Choć nie był człowiekiem pokaźnej postury, tak strasznie się go bałam, że w rozmowie z nim zaciniałam się na prostych słowach. Usiłowałam mu wytłumaczyć, że ja na jachcie i ja w życiu prywatnym to dwie różne osoby.

– Mój ojciec – zaczął, wysłuchawszy mnie – którego opinii nie zawsze szanuję, słusznie zauważył kiedyś, że kobiety mogłyby rządzić światem, gdyby tylko skorzystały ze swoich atutów, zamiast usiłować być mężczyznami. Może tak właśnie powinnaś postępować.

– Mężczyźni łatwo to powiedzieć! Ale czy twój ojciec pracował kiedyś w środowisku kompletnie zdominowanym przez ko-

biety? I czy w takiej sytuacji byłby sobą? – odparowałam zirytowana, że mnie poucza.

– Masz rację – przyznał Theo. – W każdym razie, może byłoby mi trochę łatwiej, gdybym mówił do ciebie Ally. To imię znacznie lepiej do ciebie pasuje niż Al. Miałabyś coś przeciwko temu?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, nagle zatrzymał się w malowniczym porcie, gdzie małe kutry rybackie delikatnie kołysały się między większymi jachtami i motorówkami, a spokojne fale z delikatnym pluskiem rozbijały się o ich kadłuby. Podniósł wzrok w stronę nieba, a jego nozdrza wyraźnie się rozszerzyły, gdy wciągał powietrze. Sprawdzał, jaką pogodę przyniesie nam poranek. Coś takiego widziałam tylko u starych marynarzy. Zachichotałam, bo wyobraziłam go sobie jako siwego wilka morskiego.

Zdziwiony, odwrócił się do mnie z uśmiechem.

– Co cię tak rozśmieszyło?

– Nic takiego. A wracając do twojego pytania: jeśli tak ci bardziej pasuje, to proszę, możesz do mnie mówić Ally.

– Dziękuję. A teraz idziemy się wyspać. Na jutro zaplanowałam cięzki dzień.

Tej nocy znów nie mogłam zasnąć; powtarzałam w myślach naszą rozmowę. Ja, która zwykle śpię jak kamień, zwłaszcza podczas przygotowań do regat lub zawodów.

Rada Theo, zamiast mi pomóc, sprawiła, że przez następne kilka dni robiłam mnóstwo głupich błędów. Czułam się jak żółtodziób, a nie zawodowa żeglarka, choć przecież nią byłam. Karciłam się za to surowo, a koledzy dobroduszenie się ze mnie nabijali. Z ust Theo nie padło jednak ani słowo krytyki.

Piątej nocy poczułam się straszliwie zawstydzona tą nietypową dla mnie kiepską formą, więc nawet nie poszłam z resztą załogi na kolację. Usiadłam na tarasie pensjonatu i jadłam chleb, ser feta i oliwki, które dostałam od miłej właścicielki domu. Smutki topiłam w tanim winie, które co chwilę mi dolewała. Po kilku kieliszkach poczułam mdłości i zaczęłam się nad sobą litować. Właśnie chwiejnie wstałam od stolika, żeby iść spać, kiedy na tarasie pojawił się Theo.

– Nic ci nie jest? – zapytał, poprawiając okulary na nosie, aby lepiej mi się przyjrzeć.

Spojrzałam na niego z ukosa, ale nie wiadomo dlaczego jego postać rozmaszała mi się przed oczami.

– Nie – odpowiedziałam i szybko usiadłam z powrotem, ponieważ nagle wszystko zaczęło się przede mną chwiać.

– Martwił się o ciebie, że nie przyszłaś na kolację. Na pewno nie jesteś chora?

– Skąd! – Poczułam, jak do gardła podchodzi mi gorzka żółć. – Nic mi nie jest.

– Jeśli źle się czujesz, możesz mi to powiedzieć. Na pewno nic ci z tego powodu nie zrobię. Mogę się przysiąść?

Milczałam. Tak naprawdę nie byłam w stanie wykrztusić słowa, ponieważ usiłowałam opanować mdłości. A on i tak już usiadł na plastikowym krzeselku naprzeciwko mnie.

– Więc co takiego się dzieje?

– Nic – wykrztusiłam jakoś.

– Alty, jesteś zielona na twarzy. Na pewno nie jesteś chora?

– Hm... przepraszam.

Ledwie to powiedziałam, słaniając się, wstałam na nogi i w ostatniej chwili dotarłam do brzegu tarasu, po czym zwymiotowałam na znajdujący się poniżej chodnik.

– Biedactwo. – Poczułam, jak w talii mocno obejmują mnie jego dłonie. – Oczywiście, że jesteś chora. Pomogę ci dojść do pokoju. Który masz numer?

– Ale... nic mi nie jest – mruknęłam bez sensu, straszliwie przerażona tym, co się przed chwilą stało. I to przy Theo Falys-Kingsie, któremu, nie wiadomo dlaczego, tak bardzo chciałam za imponować. Chyba nie mogło już być gorzej.

– Chodź. – Przerzucił sobie moje bezwładne ramię przez bark i właściwie wyniósł mnie z tarasu odprowadzany zde gustowanymi spojrzzeniami innych gości.

Kiedy znalazłam się w pokoju, wymiotowałam jeszcze kilka razy, ale teraz przynajmniej do toalety. Za każdym razem, gdy wracałam do pokoju, Theo czekał na mnie w pogotowiu, by pomóc mi dojść do łóżka.

– Naprawdę rano wszystko będzie dobrze – wyjęczałam.

– Od dwóch godzin to mówisz między jednym a drugim pa-wiem – zauważył pragmatycznie i chłodnym, wilgotnym ręczni-

kiem wytarł mi z czoła lepki pot.

– Idź spać, Theo – burknęłam nieprzytomnie. – Naprawdę jest już dobrze. Muszę się tylko wyspać.

– Zaraz sobie pójdę.

– Dziękuję, że tak się mną zaopiekowałeś – szepnęłam, kiedy oczy mi się zamykały.

– Nie ma za co, Ally.

I nagle, unosząc się gdzieś między snem a jawą, uśmiechnęłam się i stało się coś dziwnego.

– Chyba cię kocham – usłyszałam swój głos, zanim zatopiłam się w niebycie.

Następnego ranka obudziłam się w lepszej formie, choć wciąż byłam osłabiona. Wychodząc z łóżka, potknęłam się o Theo, który wziął zapasową poduszkę i mocno spał skulony na podłodze. Zamknęłam za sobą drzwi łazienki, opadłam na brzeg wanny i przypomniały mi się słowa, które jak mi się wydawało... Chryste Panie... czy naprawdę wczoraj je wypowiedziałam?

Chyba cię kocham.

Co mi przyszło do głowy? A może tylko przyśniło mi się, że je powiedziałam. Przecież byłam chora i mogłam mieć halucynacje.

– O Boże, mam nadzieję, że tak było – jęknęłam, opierając głowę na dłoniach. Ale... jeśli tego nie powiedziałam, to dlaczego tak wyraźnie pamiętam te słowa? Bredziłam, ale on mógł pomyśleć, że mówiłam poważnie.

W końcu, strasznie zawstydzona, wyszłam z łazienki i zobaczyłam, że Theo zbiera się do wyjścia. Nie byłam w stanie spojrzeć mu w oczy. Powiedział tylko, że idzie do swojego pokoju wziąć prysznic i wróci po mnie za dziesięć minut i zejdziemy na śniadanie.

– Lepiej idź sam, Theo. Boję się cokolwiek jeść.

– Przecież musisz coś zjeść, Ally. Jeśli dalej będziesz wymiotować, to, niestety, nie wpuszczę cię na łódź do czasu, aż wyzdrowiejesz. Znasz regulamin.

– Okay – zgodziłam się z miną nieszczęśnicy.

Kiedy odszedł, z całego serca żałowałam, że nie mogę po prostu stać się niewidzialna. Jeszcze nigdy w życiu tak bardzo nie pragnęłam przenieść się w jakieś inne miejsce.

Piętnaście minut później wyszliśmy razem na taras. Inni członkowie załogi patrzyli na nas od stołu z minami, które mówiły wszystko. Chętnie bym im dowaliła.

– Ally ma chory żołądek – oznajmił Theo, kiedy usiedliśmy. – Ale po tobie, Rob, też widać, że niezbyt się wypałeś.

Koledzy zaczęli śmiać się z Roba, a on, trochę zawstydzony, wzruszył ramionami. Tymczasem Theo zaczął spokojnie tłumaczyć, jakie ćwiczenia zaplanował na ten dzień.

Nie odzywałam się, zadowolona, że tak szybko zmienił temat, ale wiedziałam, co przyszło do głowy pozostałym. Ironia sytuacji polegała na tym, że kompletnie się mylili. Przysięgłam sobie kiedyś, że nigdy nie będę spała z kolegą z załogi; wiedziałam, jak w tym małym światku żeglarskim może do kobiety przylgnąć etykieta. No, a teraz, choć byłam Bogu ducha winna, przylepiono mi ją.

Dobre było chociaż to, że po śniadaniu nie zwymiotowałam i Theo pozwolił mi wejść na pokład. Od tej chwili starałam się, jak mogłam, udowodnić wszystkim, a zwłaszcza jemu, że ani trochę mi na nim nie zależy. Podczas ćwiczeń trzymałam się od niego tak daleko, jak tylko na to pozwalał wspólny pobyt na niewielkim jachcie, i odpowiadałam mu monosylabami. Wieczorami, po kolacji, gdy on wstawał, by wrócić do pensjonatu, zaciskałam zęby i zostawałam z resztą załogi.

No bo przecież wcale go nie kocham, mówiłam do siebie. I chciałam, żeby inni też się o tym przekonali. Im bardziej jednak starałam się udowodnić każdemu dokoła, że nie zależy mi na Theo Falys-Kingsie, tym bardziej uświadamiałam sobie, że w głębi duszy wcale nie jestem co do tego przekonana. Przyłapywałam się na spoglądaniu w jego stronę, kiedy wydawało mi się, że na mnie nie patrzy. Podziwiałam jego spokojne metody zarządzania załogą i wnikliwe uwagi, które sprawiały, że coraz lepiej nam się współpracowało. Zauważyłam, że choć jest stosunkowo drobny, ma jędrne, umięśnione ciało. I nieustannie udowadniał, że jest najsprawniejszy i najsilniejszy z nas wszystkich.

Za każdym razem, kiedy mój zdradziecki umysł błędził wokół jego fizyczności, z całej siły starałam się go powściągnąć. Niestety, Theo często chodził bez koszuli, więc wcale mi tego nie ułatwiał.

To prawda, że w ciągu dnia było bardzo gorąco, ale czy naprawdę musiał półnago studiować mapy?

– Potrzebujesz czegoś, Ally? – zapytał mnie kiedyś, gdy odwrócił się i zauważył, że się na niego gapię.

Nie pamiętam nawet, co mu odburknęłam, odwracając się od niego z buraczkową ze wstydu twarzą.

Użyło mi, że nigdy nie wracał do moich słów z tamtej nocy, i zaczęłam nabierać przekonania, że naprawdę mi się to przyśniło. Wiedziałam jednak, że stało się ze mną coś nieodwracalnego. Coś, nad czym po raz pierwszy w życiu w ogóle nie panowałam. Nie dość, że przestałam dobrze sypiać, to straciłam swój zwykle wyśmienity apetyt. Kiedy udawało mi się na trochę zasnąć, nękały mnie sny o Theo, i to takie, że po przebudzeniu rumieniłam się ze wstydu. Zachowywałam się wobec niego beznadziejnie. Jako nastolatka czytywałam romanse, potem wołałam ostre kryminały – ale najwyraźniej przeczytałam tych pierwszych wystarczająco dużo, by teraz – po zanalizowaniu własnych objawów – postawić jednoznaczny diagnozę: zadurzyłam się po uszy w Theo Falys-Kingsie.

Wieczorem po ostatnim dniu szkolenia, kiedy zjedliśmy kolację, wstał od stołu i powiedział nam, że znakomicie się spisaliśmy i, jego zdaniem, mamy dużą szansę na zwycięstwo w nadchodzących regatach. Po toaście już szykowałam się do odejścia, kiedy zatrzymał mnie wzrokiem.

– Chciałbym coś z tobą omówić, Ally. Zgodnie z przepisami, ktoś spośród załogi musi odpowiadać za pierwszą pomoc. To nic takiego, tylko biurokratyczne przepisy. Trzeba po prostu podpisać kilka formularzy. Mogłabyś to zrobić? – Wskazał plastikową teczkę, którą trzymał w ręce, i kiwnięciem głowy zaprosił mnie do pustego stolika.

– Nie mam bladego pojęcia o pierwszej pomocy. To, że jestem kobietą, nie oznacza jeszcze, że będę lepszą pielęgniarzką niż chłopaki – broniłam się, gdy usiedliśmy przy stoliku oddalonym od reszty. – Poproś Toma albo kogoś innego.

– Ally, proszę cię, bądź cicho. Zależało mi tylko na tym, żeby porozmawiać z tobą na osobności. Popatrz. – Wyjął z plastikowej teczki puste kartki. – Nie chcę, żeby wyciągali nie wiadomo jakie

wnioski, i chodzi mi głównie o ciebie. A chciałbym porozmawiać z tobą o tym, co powiedziałaś tamtej nocy, kiedy byłaś chora... Bo widzisz... tak się składa, że ja być może czuję to samo do ciebie...

Gdy przerwał, z niedowierzaniem podniosłam wzrok, żeby sprawdzić, czy się ze mnie nie nabija, ale on udawał, że sprawdza, czy wszystkie papiery są w porządku.

– Mam pewien pomysł, który może nam pomóc zorientować się w tym, co oboje czujemy – dodał. – Jutro biorę swój prywatny jacht i znikam na długi weekend. Chciałbym, żebyś popłynęła ze mną. – W końcu podniósł na mnie wzrok. – Zgodzisz się?

Usta otwierały mi się i zamykały. Zapewne świetnie naśladowałam w ten sposób złotą rybkę, ale najzwyczajniej nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

– Rany, Ally. Po prostu powiedz „tak”. Przepraszam za kiepskie porównanie, ale jedziemy na jednym wózku, a raczej płyniemy tą samą łódką. Oboje dobrze wiemy, że między nami iskrzy, i to od pierwszego spotkania rok temu. Szczerze mówiąc, po tym, co o tobie słyszałem, spodziewałem się jakiegoś umięśnionego babochłopa. A tymczasem zobaczyłem dziewczynę z pięknymi niebieskimi oczami i wspaniałymi rudymi włosami. Całkiem mnie to rozbroiło.

– Ojej... – Po prostu zabrakło mi słów.

– A więc... – Theo odchrząknął i zorientowałam się, że jest równie zdenerwowany jak ja. – Popłyniemy i zrobimy to, co lubimy najbardziej: spędzimy trochę czasu na wodzie, tak żeby to, co jest między nami, miało szansę się rozwinąć. W najgorszym wypadku spędzisz czas na świetnej łodzi. Jest bardzo wygodna. I szybka.

– A czy na pokładzie... będzie ktoś oprócz nas? – zapytałam, kiedy w końcu odzyskałam głos.

– Nie.

– Ty będziesz kapitanem, a ja załogą?

– Tak, ale obiecuję, że nie zmuszę cię do łożenia po takielunku i nie będziesz musiała całą noc siedzieć w bocianim gnieździe. – Uśmiechnął się do mnie, a jego zielone oczy były pełne ciepła. – No, powiedz, że ze mną popłyniesz, Ally.

– Okay – zgodziłam się.

– To dobrze. A teraz, podpisz się o tutaj... żeby przypieczęto-

wać umowę. – Palcem wskazał miejsce na pustej kartce.

Spojrzałam na niego i zobaczyłam, że nadal się do mnie uśmiecha. W końcu odwzajemniłam jego uśmiech. Podpisałam się i oddałam mu kartkę. Przyjrzał jej się z udawaną powagą, a potem włożył do plastikowej teczki.

– W takim razie, sprawa załatwiona. – Podniósł głos, żeby usłyszeli go inni członkowie załogi, którzy niewątpliwie wyęczyli swoje gumowe uszy. – Do zobaczenia w porcie jutro o dwunastej. Wyjaśnię ci twoje nowe obowiązki.

Puścił do mnie oko i statecznym krokiem podeszliśmy do reszty. Starłam się, by nie było po mnie widać, że w środku aż buzuje we mnie z podniecenia.